

# Zbigniew Maszewski: Ojciec i Schulz. O rysunku z okładki *Katalogu Biblioteki Stanisława Weingartena*

Będzie, jak myślę, spełnieniem oczekiwań organizatorów tegorocznych Dni schulzowskich w Gdańsku<sup>1</sup>, jeśli w kilku słowach wytłumaczę Państwu swoją tu obecność. W życzliwie mi przesłanej informacyjnej nocie organizatorzy określili tematykę spotkania jako poszukiwanie sposobów wyprowadzenia Schulza z Drohobycza, dróg poznania „Schulza-poza-Drohobyczem”. Jest to, rzecz jasna, zaproszenie do rozpoznawania sensu twórczości Schulza, które zawsze towarzyszyło „prawdziwym” czytelnikom Schulza, ponieważ towarzyszyło ono także samemu Schulzowi, czytelnikowi własnych i za „własne” przez niego uznawanych tekstów. Jedną z od dawna uczęszczanych, dobrze znanych Schulzowi dróg umożliwia widzenie jego prac w relacji do prac innych twórców – wcześniejszych, jemu współczesnych i późniejszych. Wystarczy w znaku rozdzielenia, obecnym w sformułowaniu „Schulz-poza-Drohobyczem”, zobaczyć sugerowany nim przeciwny znak łączności, aby przypomnieć siłę odkrywczych perspektyw w takich porównaniach, jak „Schulz i Goya”, „Schulz i Balthus”, „Schulz i Kubin”, „Schulz i Gombrowicz”, „Schulz i Zegadłowicz”, „Schulz i Poe”, „Schulz i Rilke”, „Schulz i Mann”. Ostatnie porównanie wydać się może szczególnie uprawnione również z tego powodu, że w eseju *Goethe i Tolstoj* z 1922 roku Mann poświęca uwagę funkcji samego spójnika „i”, definiując – w odniesieniu do Nietzschego i innych – własne stanowisko wobec łączących „instynkt” liberalizmu z „instynktem” arystokratyzmu zasad ustalania duchowych pokrewieństw. Jeżeli zestawienia z otwartej listy „Schulz i...” mogą niekiedy wywołać uniesienie brwi, nie zapominamy przecież że za każdym „i” stoi autor porównania, osoba zaczytana czy zapatrzona, nadająca pracom Schulza uniwersalny, a przez to i osobisty, choćby nawet bardzo osobliwy, sens, o który Schulz zabiegał. Takie właśnie regiony porównawcze są mi bardzo bliskie i z nich chciałem się dzisiaj Państwu i sobie wytłumaczyć. Korzystam tu z przywileju prywatnej anegdoty, a nie systematycznego komentarza, mimo że

---

1 Tekst wystąpienia 14 listopada 2019 roku podczas IV Dni schulzowskich w Gdańsku.

wbrew nadziejom organizatorów, sformułowanym w jednym z punktów zaproszenia, nie będzie to przecież zasadniczym odejściem od utartego dyskursu, zmianą powszechnie rozpoznawalnej tonacji. Taka anegdota, mogę tylko przypomnieć, otwiera nieoficjalną, nie do końca poważną drogę wzajemnego poznania i zrozumienia, tak jak fragment „przybliżony” do oka niesie obietnicę dalszej perspektywy, większej całości, a książka innego autora daje możliwość zachwycenia się tą „potencjalną i niezrealizowaną”, „gdy się między wiersze wczytuje siebie, własną książkę”. Stąd odwrócenie kolejności w tytule *Ojciec i Schulz*.

■

W latach 1945–1989 mój ojciec prowadził w Łodzi prywatny antykwariat książek „Słowo”. W tym miesiącu mija trzydzieści lat od zamknięcia księgarni. Wspomnienie tego miejsca dla mnie i dla wielu innych, którzy mogą i chcą je przywołać, ma charakter nostalgiczny i mityczny nie tylko dlatego, że sięga ono jakiejś dalekiej, niewyraźnie określonej przeszłości, tego, co było w naszym życiu dawno lub czego w ogóle nie było, ale i dlatego, że nawet wtedy, w czasach, których wspomnienie dotyczy, miejsce to miało już ten dwuznaczny wymiar dystansu i intymności, realności i wyobrażenia, że służyło ono – z pewnym wyrachowaniem uzasadnionym rodzajem prowadzonej działalności, zasadami handlu książką antykwaryczną – przywoływaniu świata wczorajszego. Łatwo było ulec wrażeniu, że pod szyldem „Słowo” Księgarnia-Antykwariat kryła się skłonność do nie zawsze legalnej manipulacji czasem: przeszłość była tu, by tak rzec, „reaktywowana” i celebrowana poprzez stwarzanie możliwości odmiany czasu teraźniejszego spod znaku ograniczanej wolności, kontrolowanego ujednoczenia, ustawowej nijakości, powszechnej szkoły podejrzliwości i wzajemnej niechęci, oficjalnej reguły „taki jest świat i nie masz innych światów prócz tego”. Trzeba tylko wyobrazić sobie, jak tam, gdzie, w materialnym i duchowym sensie, było mało, lub nie było nic, wyglądać musiały sięgające wysokiego, falującego sufitu byłych warsztatów rzemieślniczych wypełnione książkami półki, ustawiony na środku pomieszczenia wielopoziomowy stół z kilkoma rzędami grzbietów książek i stosami pism, zabudowane podwójnymi regałami wnęki i nisze na wprost okien wystawowych, zawsze pogłębione mrokiem obojętnym na zmiany pór roku, za nimi wąskie korytarze półek biegnące wzdłuż tylnych ścian księgarni ku miejscu, gdzie zwykłym, zakrzywionym gwoździem otwierało się niczym już nieoświetlone wnętrze ostatniej pakamery, odsłaniając szarość paczek zapomnianych lektur szkolnych i „tych samych tytułów”, bez wielkich szans na nowego właściciela, ale ciągle łatwych do uwolnienia jednym pociągnięciem końcówki sznurka. (Tam, w ostatnią noc likwidacji sklepu, odkryliśmy z bratem niemieckie plansze dużego formatu z początku XX wieku, przedstawiające w symetrycznych układach zbiory motyli klimatu tropikalnego; kolorowe plansze zachowały lepką świeżość i zapach farby drukarskiej). Księgarnia była uporządkowaną regułami praktycyzmu

przestrzenią tajemniczą, a jej tajemnica była wielością, otwartością, możliwością. Jeśli pytano o książkę, której nie było na składzie, właściciel (słowo, które tu nie utraciło dawnego sensu) obiecywał jej posiadanie („tak jak byś Pan ją miał”, „będzie lepiej”) i kierował do półek z działu książki poszukiwanej; dla zainteresowanych obietnica wiązała się umownie ze zjawiskiem bytu zastępczego, ułomnej inkarnacji. Podczas gdy wolny dostęp do półek nie istniał w państwowych księgarniach, tu był jedną z zasad handlu, wspomaganą niepowtarzalnym stylem rozmowy, połączeniem warszawskiej gwary, literackiej aluzyjności i osobistej gry słownej, stylem, który klientów badał, zachęcał lub eliminował. Jako zasadę przyjmowano również, że klienci uznawani za „prawdziwych” płacili mało lub nie płacili w ogóle do nastania czasów lepszych, kiedy zapłacić mogli.

Przez wiele lat, mimo ciągłej niepewności o losy tak zwanej prywatnej inicjatywy w systemie wrogim prywatności i inicjatywie, interes szedł dobrze. Wczorami mój brat lub ja towarzyszyliśmy czasem ojcu przy zakupie księgozbiorów w prywatnych mieszkaniach klientów i pamiętam, jak w wyniku tych przygód paczki z książkami (niektóre ojciec wkładał od razu do swojej teczki) przyjeżdżały następnego dnia dorożką, a w latach lepiej przeze mnie zapamiętanych – tak-sówką. Zdarzało się, we wczesnym okresie działalności „Słowa”, że ojciec zniknął na dzień lub dwa, podróżował, a paczki odbierano wtedy na dworcu kolejowym. Jeśli nie zlecał tego naszej Matce, mojemu starszemu bratu albo mnie, po zamknięciu księgarni ojciec sam zajmował się biurokracją, spisywał rachunki piśmem pełnym niespodziewanych zakrętów i przekreśleń, dla niewtajemniczonych trudnym lub niemożliwym do odczytania, z wyjątkiem może prostolinijnych pracowników urzędu skarbowego, którzy w rachunki i remanentowe spisy ojca wczytywali zawsze swój własny tekst i „doceniali” dorocznym domiarem.

„Słowo” trwało, skupiając wokół siebie ludzi pióra, teatru, filmu, sztuki i nauki z Łodzi i spoza Łodzi, którzy szukali tam możliwości budowania i odbudowywania swoich zbiorów, a także dróg wyjścia poza ciasną niezmiennosc i jałowość codziennego życia w powojennej, ludowej Polsce za sprawą rosnącej, przez nich współtworzonej legendy księgarni i legendy gospodarza, któremu, słowami jednego z beneficjentów, Janusza Dunina, sztywna noga (przestrzelona w czasie Powstania Warszawskiego) „dodawała stylu” i który „potrafił wysłuchać ze zrozumieniem nawet najbardziej niezwykłych życzeń i wynurzeń, nie zdradzając się z własnymi poglądami ani ocenami”. Wielu klientów stało się przyjaciółmi domu.

Nasz „dom” przylegał do księgarni. Boczny korytarz z działami obcojęzycznym i medycznym kończył się białymi drzwiami, które prowadziły wprost do pokoju mieszkalnego-sypialni. Zawieszony ponad nimi na szklanym oknie staloryt Postempskiego z portretem Mickiewicza wpadał w znajomo irytujący rezonans za każdym razem, kiedy zimową porą podsypane śniegiem drzwi wejściowe księgarni domykać musiano mocniejszym uderzeniem. Przejście do mieszkania i z mieszkania do pasażu przy ulicy Piotrkowskiej było przejściem







Antykwariat „Słowo”, lata osiemdziesiąte.  
Fotografia ze zbiorów prywatnych

*poniżej* Henryk Maszewski w antykwariacie  
„Słowo”, lata osiemdziesiąte. Fotografia ze  
zbiorów prywatnych

Antykwariat „Słowo” – przejście do mieszka-  
nia, lata osiemdziesiąte. Fotografia ze zbiorów  
prywatnych

przez księgarnię; tam, od początku wiosny, drzwi wejściowe pozostawiano zwyczajowo uchylone albo otwarte. Podczas gdy konstrukcje półek były solidne i nigdy nie wymagały napraw, tak że mogliśmy wspinać się po nich z bratem jak po znanych i zaufanych ścianach skalnych, drzwi wejściowe, chwiejne i nieszczelne, podobnie jak rzędem biegnące dalej nieokrągowane okna parterowe w obrępanym murze posesji, uznawano również za gwarant bezpieczeństwa – prowizoryczność broniła przed złodziejami, a potwierdzający powszechną wtedy regułę jednorazowy przypadek włamania, gdy nie zginęło nic wartościowego, przypisywano właśnie służbom bezpieczeństwa. Drzwi wejściowe były znakiem umowności granic pomiędzy sferą czasu prywatnego – domu, a sferą czasu publicznego – księgarnią, która także była własnością prywatną, i tym, co „poza” księgarnią.

Z kuchni przynosiliśmy ojcu obiad, kawę i kieliszek wiśniówki. Drzwi wewnętrzne należało wtedy otwierać z nadzwyczajną ostrożnością nie tylko dlatego, że niesiono, o zawsze zmiennej porze, rzeczy płynne, ale i dlatego, że mógł za nimi stać na wysokiej drabinie pewien niskiego wzrostu kolekcjoner wydań Tauschnitza. Pukaliśmy do drzwi, jeśli w szybie ponad nimi pojawiał się cień. Na polecenie Matki, która do praktycznych rozgraniczeń przywiązywała właściwą wagę, przechodziliśmy tam codziennie, żeby informować ojca o godzinie zamknięcia księgarni: „dochodzi siódma”, a po wielu latach: „dochodzi szósta”. Czy trzeba Państwu mówić, że współistnienie i wzajemna współzależność domu i sklepu dawały powód do licznych omyłek w odwrotnym kierunku: przez szkło ponad ramieniem Mickiewicza klienci zaglądać mogli do sypialni, lub korzystając z nie zawsze domkniętych drzwi, szukać za nimi dalszych rzędów półek.

Z korytarza, po odsunięciu grubej zadymionej kotary, wchodziło się do pomieszczenia, które nazywaliśmy „pokoikiem”, chociaż z biegiem czasu słowo to przestało mieć dla nas cokolwiek wspólnego z formą zdrobnienia. Z racji swojego położenia, pomiędzy główną częścią księgarni a mieszkaniem, zapraszano tam handlarzy wybranych, stałych lub szczególnych, a transakcje zawierane miały charakter nieoficjalny, pozaurzędowy i odświętny. Bywali tam przedstawiciele innych krajów i innych światów, wśród nich (do 1968 roku) „mąż” na prawach wyjątkowych, co oznaczał jego ustalony sposób pukania do szyb okiennych mieszkania w niedzielne przedpołudnia. Często byłem wtedy pierwszy przy oknie, odsuwałem firankę, a przysunięta do szyby twarz odchyłała się do tyłu, żeby nie przestraszyć „młodego człowieka”. Nie była to zresztą w żadnej mierze twarz groźna czy prorocza, a głęboko osadzone oczy i krzaczaste brwi przydawały tylko charakterystycznej duchowej głębi jej miękkiemu rysom. Transakcje, lub zapowiedzi transakcji, omawiane w „pokoiku” z gościem, którego aurę koneserstwa zapewniającego dystans wobec spraw tego świata odczuwałem raczej, niż rozumiałem, miały jeszcze, jak wspominał ojciec, „cały urok dyplomacji kupieckiej”. Obaj, on i gość, znajdowali przyjemność w przeświadczeniu, że należało dopuścić do nadużycia zaufania w konkretnej, bieżącej transakcji w imię przyszłej, dla

drugiej strony korzystniejszej; zakładano równocześnie, że nie wykorzystuje się nigdy czyjejś ignorancji, ale raczej czyjąś pasję do robienia interesów i wzbogacania istniejącej kolekcji. Rzecz, o jaką chodziło, miała wartość wymierną finansowo i wartość „wyższą”, którą określał sam charakter zawitych negocjacji, ograniczając w nich nadmierną szczerłość i nazbyt naiwną uczciwość w imię spraw ważniejszych, możliwych kiedyś do załatwienia. Należało pozwolić drugiej stronie na satysfakcję robienia dobrego interesu, czyli w danym dniu dla siebie gorszego, a wiedza o tym po obu stronach była sama w sobie podstawą i zachętą do satysfakcjonujących spotkań dnia przyszedłego. Słowem, były to rozmowy spod znaku „szlachetnych handlów”. Po latach dowiedziałem się, że od tego „męża” świątecznych wizyt ojciec kupił kilka rysunków Brunona Schulza.

W tym domu urodziłem się (w dniu urodzin Schulza) i wychowałem, a dzisiaj z okazji Dni schulzowskich mam sposobność wspominać ów dom jako miejsce istniejące i nieistniejące, które poprzez otwarcie granic było i jest rodzajem fortecy, bezpiecznym schronem przed zamurowaniem, zamknięciem, nudą i politycznym fałszerstwem. Wiosną i latem, w drodze do wyjścia z domu do parku Sienkiewicza, albo dalej do cukierni „na rogu”, nie sposób było nie wygrywać znajomych melodii przesunięciem ręki po grzbietach książek i nie zabrać ze sobą jakiejś książki z „przygodowej” półki, a przed wyjściem do szkoły, o każdej porze szkołą naznaczonej, nie zamienić książki „zadanej” na książkę własnego wyboru (konieczność takiego, a nie innego wyboru nie była jeszcze wtedy zrozumiała). W tym czasie fascynowała mnie w „Słowie” niezwykle właściwość jego atmosfery. Miała ona zmysłowo nadrealny wymiar i polegała na prostej zasadzie jego funkcjonowania, znanej księgarzom, bibliotekarzom i pisarzom: przed każdą i za każdą książką stała książka inna, a ich wzajemna fizyczna bliskość, by tak rzec, wzajemne przyłożenie do siebie, albo tylko (mniej skandalicznie wyobrażone) spojrzenia, jakie rzucają sobie wzajemnie wzduż i wszierz księgarskich czy bibliotecznych regałów, pozwalają im w sprzyjających okolicznościach wymieniać litery, słowa i całe fragmenty swoich treści, zapożyczać swoich bohaterów i swoje fabuły, wchodzić w różnorodne związki, odmieniać się i uzupełniać wzajemnie, dokonywać fantastycznego pomieszania ras i rodzajów. Jeśli zbiór księgarni jest z natury liberalny, otwarty i zmienny, taki jest też każdy element, który ją współtworzy.

Na wstępnym etapie hokus-pokusowa zabawa polegała tylko na zręcznym zestawianiu tytułów z różnych półek wokół jednego powtarzanego w nich słowa. Tak, na przykład, *Zielone wzgórze Afryki*, *Zielone piekło*, *Zielona twarz*, *Ania z Zielonego Wzgórza*, *Zielony Henryk* składać się mogły na coś w rodzaju arcimbaldowskiej konstrukcji wspólnej zielonej nad-książki, którą łatwo było porzucić dla kaprysu przyjęcia innego punktu wyjścia, innego koloru, innej zasady asocjacyjnej organizacji. Takie naiwne sztuczki z wpływem lat mają szansę przedrodzić się w skłonność do znajdowania aluzji i powiązań między tekstami, ich świadomej i nieświadomej umiejętności odsyłania do ciągle innych tekstów,

w skłonność, która lekko już zleżała z punktu widzenia literackich czy akademickich pomysłów, nadal przywołać potrafi świeżość kolorów dzieciństwa, wytłumaczyć powrót do wczesnych fikcyjnych utożsamień.

Nadużyłem Państwa cierpliwości, mimo że jeśli mam mówić o ojcu i Schulzu, jak Państwo dobrze wiecie, od dawna „jesteśmy już w drodze”. Zebrałem tylko kilka fragmentów ze swojej kolekcji wspomnień, dołączając do dzisiaj tu obecnych, którzy jak ja rozumieją, że zbieramy je dla samych siebie w różnych miejscach, w różnych czasach i nazywamy, umownie i z pełnym przekonaniem, „sklepami cynamonowymi”. W dniach schulzowskich nie szukamy przecież rzeczy konkretnych, praktycznych i wymiernych, a każda z wyliczonych, nazwanych przynależy do zbioru prawem przypomnienia o tym, o czym „zapomina się w dni zwyczajne”. Jak wszyscy kolekcjonerzy, kolekcjonerzy i takich osobliwości potwierdzą, że o sprzyjających okolicznościach, w jakich zbiory wzbogacone są czymś nowym, ich właściciele mówić lubią, jeśli decydują się o tym mówić w ogóle, jak o przygodzie, zrzączeniu losu, zadziwiająco szczęśliwym trafie, podczas gdy często nasuwają one przypuszczenie, że są pochodną raczej niż zaprzeczeniem zasad intencjonalności, przewidywania, świadomie prowadzonej gry, kalkulacji czy wręcz wyrachowania.

Kończę ten fragment cytatem o pewnej oczekiwanej, niespodziewanej wizycie dla samej przyjemności odczytania go raz jeszcze, należy on bowiem do tak dobrze wszystkim tu znanych, że przyjemność jego odczytania wydawać się może sama w sobie zarówno oczekiwana, jak i niespodziewana:

„Słabo oświetlone, ciemne i uroczyście ich wnętrza pachniały głębokim zapachem farb, laku, kadzidła, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów. Mogłeś tam znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie, marki krajów dawno zaginionych, chińskie odbijanki, indygo, kałafonium z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliuszki, korzeń Mandragory, norymberskie mechanizmy, homunkulusy w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe książki, stare folianty pełne przedziwnych rycin i oszałamiających historyj.

Pamiętam tych starych i pełnych godności kupców, którzy obsługiwali klientów ze spuszczoneymi oczyma, w dyskretnym milczeniu, i pełni byli mądrości i wyrozumienia dla ich najtajniejszych życzeń. Ale nade wszystko była tam jedna księgarnia, w której raz oglądałem rzadkie i zakazane druki, publikacje tajnych klubów, zdejmując zasłonę z tajemnic dręczących i upojnych”.

Kiedy wieczorną porą ojciec wysyłał mnie do księgarni po papierosy lub portfel, których zapomniał wziąć z biurka, ja sam mogłem tam zobaczyć oszklone gabloty z ekslibrisami (wśród nich dłoń na cyrkle z sygnetu drukarskiego Krzysztofa Plantina, którego sonet *Szczęście świata tego* ojciec przetłumaczył), gabloty z literackimi medalami, pogodną twarz Moliera ze świątecznego wydania „L'Illustration”, mapę Paryża z wieńcem panoram miasta wokół gęstej sieci ulic i placów, szwarcwaldzki zegar z kukułką, ludzką czaszkę ze szczęką przytrzymywaną



dwiema sprężynami (ustawiony na szesnastowiecznej niemieckiej Biblii dar z gabinetu anatomicznego zaprzyjaźnionego lekarza), wielki amonit (podarowany później Muzeum Przyrodniczemu w parku Sienkiewicza), wypchaną sowę, kukielkę „profesorka” w czarnym surducie i czarnych butach klauna, z miniaturową książką w rękach (dar Zenona Wasilewskiego, który „Słowu” dziękował również zainspirowanym prozą Schulza rysunkiem przedstawiającym karzełka w kręgu światła pośród nocnej, kubistycznie spiętrzonej scenerii miasta), czerwone laski laku i huszczące się warstwy niebieskiej kalki, brązy (*Myśliciela* Rodina na marmurowej podstawie i Sofoklesa na dwóch oprawionych w skórę tomach *Dictionnaire de L'Académie Française* z 1822 roku), podświetlany gwiazdny globus nieba, farby olejne w grubym szkle aptecznych słoików, pęk siedemnastowiecznych stempli miejskich (dar Andrzeja Grabskiego, który w Paryżu był, ale któremu praca w archiwach nad dokumentami wczesnej historii Polski nie pozwoliła nigdy na oglądanie jego panoram), oznaczone cieniowanym pismem szare teki ze szlachetnymi reprodukcjami obrazów i rzeźb w muzeach świata, teki z kartami pocztowymi dalekich krajów, teki efemera z pawiookimi wykłejkami, świętymi obrazkami w koronkowych koszulkach czy pojedynczymi stronami handlowej korespondencji fabryk z rzędami kominów i medali na ozdobnych reklamowych nagłówkach. Jak książka do innych książek, „każda rzecz odsyłała do innej rzeczy”.

„Nade wszystko” były tu oczywiście książki. Ich okładki, tytuły, nazwiska autorów, ich różnorodność, ich „wylew” rozbudzały wyobraźnię. Już wtedy miałem zwyczaj czytać pierwsze akapity, aby oceniać po tym tylko, czy książkę, którą otwierały, będę chciał kiedykolwiek w przyszłości przeczytać. Czasami treść fragmentu książki w dowolnym miejscu otwartej służyła nie tylko temu celowi, ale również przyjmować mogła magiczną funkcję przepowiedni moich własnych przygód, za jej pośrednictwem gwarantowanych dnia następnego. Wybrany tom wkładałem pomiędzy inne tomy w znanych sobie miejscach. Zdarzało się, jak zdarza się nam wszystkim z fragmentami tekstu, które kiedyś przeczytaliśmy, a potem daremnie poszukujemy, że książki znikają z zaufanych miejsc. Moje wieczorne powroty z księgarni przeciągały się. Ojciec nie pochwalał „przekładania” książek, ale ponieważ znał dobrze urok „wielkiej atmosfery” i zasady psychologii „powtórzeń” na wielką i małą skalę, przyjmował z wyrozumieniem to, że łatwo zapominałem o rzeczach, po które mnie posyłało.

Podczas jednego z takich posłannictw zajrzałem do szuflady głębokiego biurka w „pokoiku”. Nie muszę Państwu mówić, że w wieku dojrzewania nie zrobiłem tego w przecuciu odnalezienia tam starej, pięknej mapy miasta Łodzi, ale raczej „wybawienia z udręki nudów” za sprawą pewnych fotografii, których charakter przykryjemy „mgiełką uśmiechu” Emila, najstarszego z kuzynów. Pod stertą gazet, ułożonych tam jakby dla niepoznaki, w szarej koperce znalazłem nie to, czego chciałem, ale oprawiony w płótno *Katalog Biblijoteki Stanisława Weingartena* i zobaczyłem jego okładkę z rysunkiem Brunona Schulza. Do mojego rozczarowania

substytutem, który odnalazłem zamiast „fali nagłego zrozumienia”, przyznać się mogłem ojcu dopiero po latach, ale to, co wtedy o *Katalogu* mówił, o czym później czytałem w jego notatkach, miało niezmiennie emocjonalną siłę czasu przeszłego, który staje się teraźniejszością. W oczywisty sposób mamy tu do czynienia z pewną manipulacją czasu, także dla potrzeb dzisiejszego wystąpienia.

■

Ogromnym i zrozumiałym szacunkiem darzył ojciec prace Jerzego Ficowskiego i nie było z jego strony zwykłą kurtuzją, kiedy w 1991 roku kończył list do niego słowami uznania dla „szczególnych uprawnień Pana misyjnych zadań”. Słowa te zamykały wymianę korespondencji, której początek dał list Ficowskiego ze stycznia 1965 roku: „Powiadomiono mnie – pisał wtedy – że nie ma Pan zwyczaju pisywać listów w odpowiedzi na prasowe kwerendy. Stąd moja dotychczasowa całkowita niewiedza o Panu, jako miłośniku Schulza. Boję się, że Pańska awersja do odpisywania (jeśli nie jest zmyślona przez mojego informatora) zwycięży i tym razem i nie doczekam się żadnej odpowiedzi”. Słowo „informator”, brak imienia adresata i „niepewny adres” na kopercie, za które autor przepraszał w *post scriptum*, zaadresowana do siebie koperta zwrotna, którą próbował „nieco ułatwić Panu tę niewdzięczną czynność” (napisania listu? adresowania koperty?), lub też inne względy spowodowały, że ojciec odpowiedział Jerzemu Ficowskiemu dopiero w maju, nie listem jednak, ale pocztową przesyłką pierwszego wydania *Sanatorium pod Klepsydrą*. Adresat z wdzięcznością kwitował ceną przesyłkę, a bez wdzięczności fakt, że nadeszła ona „bez jednego słówka komentarza”. To, co ojciec uznawał (słusznie lub niesłusznie) za pewien styl oferowania niespodziewanej „przygody”, bliższy „autentykowi” niż podawanie o nim informacji, Ficowski przyjął (słusznie lub niesłusznie) jako nieuzasadnione powstrzymanie jego „uprawnień” i „misyjnych zadań”. Chcąc podtrzymać kontakt, pisał: „proszę choćby o podanie mi ceny łaskawie nadesłanej mi książki, abym mógł jak najszybciej przekazać Panu należność”.

W tej kwestii także (zamierzenie czy niezamierzenie) zachodziło nieporozumienie, które ojciec czuł się teraz zobowiązany wyjaśnić listem (na zachowanej kopii, dbając o czytelność pisma, często zanurzając stalówkę w ciemno niebieskim atramencie): „Szanowny Panie – przesłane *Sanatorium* nie jest pochodzenia terenu księgarni – nie podlega prawom księgarni – proszę o przyjęcie egzemplarza z dedykacją – jak najpełniejszego poznania spuścizny po Brunonie Schulzu – plastycznego portretu-życiorysu bez luk? (Zwrotem „bez luk” nawiązywać mógł porozumiewawczo do akapitu otwierającego *Genialną epokę*, jak i do listu Schulza do Romany Halpern opublikowanego przez Wydawnictwo Literackie w *Prozie* z datą 1964 roku). W dalszej części listu ojciec obiecywał „czujność i zapobiegliwość” w sprawie spełnienia życzenia Ficowskiego, którym była możliwość nabycia pierwszego wydania *Sklepów cynamonowych*, i ponownie

odmawiał listownego ujawnienia swojego „stanu posiadania”, tym razem jednak w sposób wybiegający daleko poza oczekiwania odbiorcy listu: „Mój zbiór sprowadza się wyłącznie do strony plastycznej – nie mam nic z jego rękopisów. Wyszczególnienie-opisywanie zbioru miałoby jeden wyraz – zaproszenia do osobistego obejrzenia. – Bardzo Pana zapraszam. – Henryk Maszewski. P.S. Ze względu na charakter moich zajęć, z wielką przyjemnością gościć Pana będę po godzinie 19. – niedziela do Pana dyspozycji”. Było to wyraźne zaproszenie do domu; znajomość zapoczątkowana „pięknym darem”, jak przyjmując zaproszenie, pisał Ficowski („Jak się Panu za *Sanatorium* zrewanżuję?”), nabierała już charakteru osobistego, to jest wykluczającego wymiar handlowy („winien” i „ma” z książki w szufladzie biurka księgarń). Paradoksalnie, handlowe transakcje były wykluczone dlatego właśnie, że za drzwiami domu była księgarnia. Od dawna już fascynacja Schulzem pozostawała tożsama z oddaniem sprawie sklepu. Rozgraniczenie „terenu” księgarń i sfery osobistej pasji w liście do Ficowskiego było gestem wyciągniętej ręki, rozpoznania wzajemnej bliskości poza tym, co ich dzieliło. I chociaż ojciec nadal pomijał milczeniem ponawiane zapytania Ficowskiego o możliwość zakupu „dubletów grafik” Schulza (czy można było mówić o „dubletach”, biorąc pod uwagę choćby tylko sam fakt, że grafiki z *Xięgi bałwochwalczej* były przez autora sygnowane?), egzemplarz książki *Cyganie polscy* z dedykacją autora, подарowany mu, jak sądzę, z okazji pierwszej wizyty Ficowskiego w „Słowie”, zajmował zawsze miejsce uprzywilejowane pomiędzy innymi książkami w ojca prywatnej bibliotece.

Trudno mi się oprzeć chęci, by życzliwie skonfrontować zaproszenie do „osobistego obejrzenia” schulzowskiej kolekcji w liście ojca z jej skomentowaniem przez Ficowskiego w *Okolicach sklepów cynamonowych* z 1986 roku jako „kolekcji najosobliwszej, bo – jak dotychczas – całkowicie i świadomie niedostępnej nikomu poza jego posiadaczem”. Myślę o tym zdaniu jako o pewnej tendencji do mitologizowania, którą obaj panowie, kolekcjonerzy i miłośnicy Schulza, dzielili i która w jakimś stopniu stała się podstawą ich wzajemnego sobą zainteresowania i dalszych kontaktów. Tak należy też rozumieć słowa: „widziałem nie więcej niż zaledwie jej [kolekcji] cząstkę i to przez parę chwil zaledwie. Właściciel chce z nią obcować sam na sam...”. Po godzinie 19, lub w niedzielę, ta „cząstka” kolekcji z pewnością była dostępna Ficowskiemu przez więcej niż parę chwil, tak jak była ona dostępna rosnącej grupie przyjaciół „Słowa”, dla których rysunki Schulza przedstawiać mogły, w czasach, kiedy rzeczywistość była urzędowo raczej niż mitycznie degradowana, „rebusy świetlistych objawień”. Ojciec przeczytał nam kiedyś ten fragment z *Okolic sklepów cynamonowych* bez poczucia rozczarowania, uśmiechając się. Podobało mu się powtórzenie „zaledwie”, w którym nie dostrzegał stylistycznego błędu, ale raczej odwrócenie „a nade wszystko”, „ale nade wszystko” ze *Sklepów cynamonowych*, i sugestię takiego powtórzenia w zwrotach „kolekcja najosobliwsza” i „sam na sam”. Podobały mu się trzy kropki kończące akapit, w których nie dostrzegał

ostrzegawczo podniesionych brwi, znaku zapytania, ale raczej zachętę do kontynuowania „sprawy Schulz”, tego, co w jednym z listów do Ficowskiego nazywał „nią intymnych związków, zawierzeń i zleceń” nawiązaną między pracami Schulza a jego własną pracą.

Ja skłonny jestem przypominać sobie uwagi Ficowskiego z perspektywy schematycznego powtarzania ich w późniejszych tekstach dotyczących Schulza, przywołujących okazjonalnie nazwisko Henryka Maszewskiego. W *Słowniku schulzowskim*, na przykład, pojawia się ono w kontekście: „Tylko fragmentarycznie znany jest spadek po...”, który odczytuję jako pokrewny zwrotowi „zaledwie jej [kolekcji] cząstkę”, nawet po odrzuceniu z upływem lat słów „całkowicie i świadomie”. Należy przyjąć, raz jeszcze, że słowo „fragment”, w jego wielu wersjach, w równym stopniu przynależy do słownika Schulzowskiej prozy (*Ojczyzna* jako „fragment większej całości”, „fragmentaryczne inkarnacje”, „kawałki” i „ułamki”, „strzępy” i „szpargały”), jak i do słownika schulzowskich badaczy, których oddanie „sprawie Schulza” mierzyć można także nigdy niezaspokojoną potrzebą uzupełniania luk, dopowiadania i dopełniania. Należy też przyjąć, bez „ironicznego błysku oczu” Magdy Wang, ani spojrzenia „głęboko w oczy” Józefa, syna Jakuba, że moja tu dzisiaj wizyta nie pozostaje bez związku z przypomnianym Państwu fragmentem *Okolic sklepów cynamonowych*.

Zaczyna się on od zdania: „Nie zdążyłem nabyć cennego katalogu, uprzedził mnie łódzki antykwariusz, miłośnik Schulza, zapoczątkowując tym nabytkiem swe prywatne zbiory «schulzjanów», które odtąd systematycznie wzbogacał i uzupełniał nowymi znaleziskami”. I tak, i nie. Nie należy czepiać się słów, kiedy o sprawę tu chodzi, sadzę jednak, że słowo „systematycznie” jest mylnie pozbawione aury jedności przypadku i prawa, o której wcześniej mówiłem. „Moje pierwsze spotkanie z Schulzem – ojciec napisał kiedyś – miało miejsce przed wojną, na pewnym placu w Warszawie, gdzie w witrynie eksponującej «Wiadomości Literackie» zobaczyłem numer specjalny, poświęcony w większości Schulzowi. Jeśli ta przygoda nie była wtedy wielkim wydarzeniem, z tej perspektywy urasta mi w znak sygnałny”. Drugie spotkanie ojca z Schulzem, pomijając lekturę jego opowiadań, miało miejsce w Łodzi w 1947 roku; było przypadkowym zakupem, w większym zespole, kilku książek z ekslibrisem Stanisława Weingartena wykonanym przez Schulza. W przedzielonych myślnikami notatkach ojca pojawiają się charakterystyczne dla jego sposobu pisania zwroty przeczące systematyczności, ale potwierdzające prawidłowość – „zlecenia przypadku”, „fenomenalny traf”, a w liście do Ficowskiego *Katalog Biblioteki Stanisława Weingartena*: „losowo nakierowany na «Słowo»”, „«cynamonowy» dopust, który wyrodził się z rzeczowego inwentarza «Słowa» do jakiegoś bezprzedmiotowego awanturnictwa”, potwierdzenie „emocjonalnego charakteru [jego] lojalności wobec «sprawy Schulz»”. Spis książek Weingartena, pisał, traktował „jako przywilej, nie koncesję”. W przekonaniu ojca „nabycie” *Katalogu* nie miało znamion współzawodnictwa pomiędzy dwiema stronami, ale raczej



wydarzyło się w ramach wspólnoty nabywania rzeczy poszukiwanych poprzez nieoczekiwane spełnienie prawidłowej przynależności.

Upłynęło dużo czasu od momentu, kiedy w 1948 roku Ignacy Zajfert odpowiedział na kwerendę Ficowskiego, zgłaszając gotowość sprzedania *Katalogu*, do wejścia w jego posiadanie przez właściciela „Słowa”. Tutaj perspektywy obu panów zbiegają się, ale także oddalają. W wydaniu *Regionów wielkiej herezji i okolic* z 2002 roku, którego ojciec nie mógł już przeczytać, Ficowski pisze o łódzkim stolarzu Ignacym Zajfercie, człowieku niewykształconym („odezwał się krótkim nieortograficznym listem”), i o *Katalogu*, który „zachował się stosunkowo dobrze, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że przez pewien czas znajdował się w rękach przypadkowego posiadacza bezpieczeństwa szpargałów i rupieci”. Czy nie pośród „szpargałów i rupieci” można by właśnie oczekiwać nagłego pojawienia się „bezcennej Księgi Liter”? Czy jego „posiadacz” nie musiał być „przypadkowy”, tak jak przypadkowym posiadaczem markownika, „prawdziwej księgi blasku”, był Rudolf, który „katalogował”?

Wrażenia ojca z wizyty u Zajferta były podobne, formułowane rzeczowo, ale czasem też zupełnie odmienne i bardziej jeszcze mityzujące. We wspomnieniu ojca z pewnego jesiennego dnia w latach pięćdziesiątych Zajfert „był człowiekiem dokonującym żywota w parterowym mieszkaniu o rupieciarsko-muzealnym wyglądzie”. „Był tam On i kot. Tak, nie było tam psa” – napisał ojciec. Nawet bez odniesienia do „bezpiecznych” szpargałów, poprzez przywołanie schulzowskich muzealno-jesienych klimatów, schulzowskiego kota i psa, fragment ten ma za zadanie nobilitować rupieciarski lokal „stolarza”. Ojciec pisał o Zajfercie z uznaniem. Jego zdaniem Zajfert znał się na książkach, czytał dużo, więcej kupował, niż sprzedawał. O książkach, które sprzedawał, nie mówił dużo. Jakaś ich część trafiła do niego, tu ojciec przytaczał słowa Zajferta, podczas wojny „od robotników z transportu”. Przeznaczone „na przemiał” zawdzięczały przetrwanie temu, że były „głównie w języku niemieckim”, chociaż należały do rodzaju literatury, którą w Niemczech publicznie palono. Te książki, jak Zajfert wiedział, interesowały ojca i dlatego zaprosił go do swojego mieszkania-warsztatu stolarskiego. A przy okazji, wspominając tylko o zainteresowaniu przedmiotem innego potencjalnego kupca, pokazał mu również ilustrowany przez Schulza *Katalog Biblioteki Stanisława Weingartena*. Swoje zabiegi o możliwość kupienia *Katalogu* nazwał ojciec „odwróceniem lady”. Teraz poczuł się „adeptem”, uzależnionym od życzeń tego, komu *Katalog* nie był przeznaczony. W jego własnych kolekcjonerskich poszukiwaniach cechowała Zajferta wybredność i rzeczowość; *Katalogu* sprzedawać nie chciał, ale był gotowy wymienić go na od dawna poszukiwaną przez siebie książkę, ilustrowany rzadki druk bibliofilski o charakterze pornograficznym. Ojciec dołożył wszelkich starań, aby korzystając z kontaktów z klientami i innymi antykwariuszami, sprowadzić poszukiwaną książkę do „Słowa”. Po latach opowiadał żartobliwie o zbieżności tej historii z przeżyciami Józefa w *Sanatorium pod Klepsydrą*, gdzie w księgarni przylegającej do sklepu ojca

zamówioną książkę pornograficzną, której na składzie nie było, zamieniono na pewien artykuł, przewidując niewątpliwe Józefa nim zainteresowanie.

W lutym 1991 roku Jerzy Ficowski odwiedził ojca w towarzystwie fotografa, Adama Kaczkowskiego, w związku z organizowaną przez Muzeum Literatury w Warszawie wystawą upamiętniającą stulecie urodzin i pięćdziesięciolecie śmierci Brunona Schulza. Ustalono, że rysunki Schulza z kolekcji ojca będą tam eksponowane. *Katalog Biblioteki Stanisława Weingartena* miał nie opuszczać domu jego właściciela. Ojciec zgodził się natomiast na umieszczenie zdjęć rysunków Schulza z *Katalogu* w salach ekspozycyjnych wystawy *Bruno Schulz. Ad Memoriam*. Przy okazji wizyty Ficowski подарował ojcu wydany w jego opracowaniu przez Northwestern University Press tom *The Drawings of Bruno Schulz* z własnym ekslibrisem (zawinięty kłęb dymów nad ogniskiem cygańskiego taboru) i dedykacją: „Panu Henrykowi Maszewskiemu w dniu wspaniałego Schulzowskiego przyjęcia w Jego gościnnym domu – z wdzięcznością i uznaniem – Jerzy Ficowski”. W książce *Regiony wielkiej herezji i okolice. Bruno Schulz i jego mitologia*, wydanej dziesięć lat później, Ficowski zamieścił reprodukcje rysunków Schulza z *Katalogu Biblioteki Stanisława Weingartena* wraz z reprodukcjami kilku stron spisu książek z kolekcji przyjaciela...

■

Rysunek na frontowej okładce *Katalogu Biblioteki Stanisława Weingartena* jest graficznym znakiem otwarcia i zaproszenia; ze względu na swoją kompozycję i swoje uprzywilejowane miejsce pełni funkcję jeszcze jednego, unikatowego, w jednej tylko wersji i jednym egzemplarzu istniejącego ekslibrisu Brunona Schulza dla Stanisława Weingartena. Wykonany czarnym tuszem rysunek przedstawia postać młodzieńca (takim go widzę) w rozwianym płaszczu-pelerynie, z wydłużonym kominem cylindra na głowie, trzymającego otwartą książkę w wyciągniętych rękach. Stoi w pozycji szerokiego, „żabiego” rozkroku, opierając stopy o kadłub wielkiej beczki. Po lewej stronie widzimy wygięty kształt „wieży” o wielopoziomowej, piętrowej konstrukcji pagody, a po obu stronach beczki naszkicowane kilkoma kreskami kontury roślinnych (z sugestią pustynnych) form. Poniżej małych liter „BS.” na beczce, przedzielone kropkami i pogrubione cieniowaniem inicjały właściciela *Katalogu* stanowią podstawę dla całej kompozycji. (Podobne inicjały znaleźć można na wytłoczeniach płóciennych opraw niektórych książek ze zbioru Weingartena, między innymi tomów *Dzieł poetyckich* Jana Kasprowicza w lwowskim wydaniu z 1912 roku).

Nasz młodzieniec, a nazywam go tak chętnie ze względu na oczywisty jego współudział w budowie przyszłej „republiki młodych” z *Republiki marzeń*, ma widoczne cechy wspólne z amatorskimi, jeszcze niepewnymi jeźdźcami na niektórych szkicach Schulza (na przykład w szkicu *Chłopiec w wysokim kapeluszu na koniu* w katalogu *Bruno Schulz. 1892–1942. Rysunki i archiwalia ze zbiorów*



Bruno Schulz, okładka *Katalogu Biblioteki Stanisława Weingartena*, ołówek, 20,5×15,7 cm, własność prywatna

*Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza*, Warszawa 1992, s. 307) czy też jego doświadczonymi dorożkarzami, którzy zresztą chętnie schodzą z kozła, rzucając lejce na kolana rozespanych i rozmarzonych klientów. Chciałoby się powiedzieć: „Nie ma tu konia”, wystarczy jednak zastąpić kadłub beczki końskim kadłubem, a książkę w rękach wędzidłem lub lejcami. Pamiętamy, jak w *Jesieni* „potężnie odsadzone wspaniałe kłęby [końskie] kołysały się w ciemnościach wśród puszystych uderzeń chwostów”. Nie będzie być może nadużyciem naszej wyobraźni, jeśli o chwostach pomyślimy, patrząc na kształty roślin po obu bokach beczki. Nie należy też wykluczać, że książka, którą młodzieniec trzyma, jest rodzajem szkicownika, samym *Katalogiem Biblioteki Stanisława Weingartena*, a wyciągnięte ręce odsuwają na chwilę przedstawiony lub właśnie powstający na jednej z kart rysunek dla korekty właściwej perspektywy, to jest dla oceny oka kierującego spojrzenie ku wewnątrz.

Tonacja rysunku jest nam również znajoma. Jest to tonacja nokturnu, która odpowiada zainteresowaniom adresata ilustracji, kolekcjonera książek o tematyce ezoterycznej i muzycznej. Odpowiada ona też nastrojom przyszłego dyrygenta z opowiadania *Ojczyzna*, kiedy z gorącym czołem przytkniętym do szyby (w salonie trwa ożywiona gra w karty) obserwuje on ciemność „jesienniejącej gęstwiny parku”. Tam zgiełk wron „sadowi się i jednoczy z ciszą szelestnego wędnięcia”, „instalowania się” nocy „głębokiej i późnej”. W *Ojczyźnie*, opowiadaniu, które przypominam dzisiaj ze względu na porę roku naszego spotkania i sam tytuł mojego wystąpienia, podobnie jak w innych opowiadaniach Schulza noc jest porą dynamiczną i burzliwą, porą awanturnicznych wędrówek i przygód, zaplątywaniem się w „matnię”, ale także porą spóźnionego powrotu do domu, regresji, przeczucia śmierci, kiedy „czuje się i wie”, że „nic złego nie może mi się już przydarzyć, znalazłem przystań i spokój”. Taka jest noc na rysunku. Jej dynamikę tworzą „stalorytowe” równoległe kreski tła, cień na beczce i bardziej jeszcze pogłębiona czerń stylizowanych liter. To jest noc wietrzna, gdzie wiatry wieją z wielu kierunków, unosząc poły płaszcza młodzieńca jak płachty żagli i pochylając wieżę. Linia kontrastującą jest na rysunku linia pochylenia głowy młodzieńca, to jest pozioma linia jej przyłożenia do „poduszki snu”, przedłużona kominowym cylindrem jakby przyrośniętym do głowy i niepodlegającym prawom powietrznych zawirowań. Wędrówka i przygoda, a równocześnie przystań i spokój.

Na beczce stoi wędrowiec snu, śniący swój sen prywatny i archetypiczny. Dlatego nie należy go niepokoić pytaniem, czy sen jego jest emanacją treści trzymanej książki, czy też treść książki dyktuje sen śpiącemu, czy książka służy trzymającemu ją, czy też on sam pozostaje w jej służbie, tak jak nie należy pytać, czy realizacja idei ilustrowanego katalogu książek była spełnieniem życzeń przyjaciela, pracą wykonaną, w całości lub w części, „na zamówienie”, czy też zrozumieniem, że ręka rysownika podlega niezmiennie rygorom „żelaznego kapitału ducha”, określonego katalogiem jego prywatnych, „zadanych” treści. W rzeczywistości mitu



i snu sfery prywatności i wspólnoty wzajemnie się ze sobą przenikają, a może są już tożsame. Na koniu czy na beczcze, w dorożce, pociągu czy w usztywnionym, wielocłonowym kadłubie papierowego auta, w Drohobyczu czy poza Drohobyczem – wędrowiec Schulza podróżuje drogami, którymi podróżowali, podróżują i będą podróżowali inni, dorośli i niedorośli, wędrowcy. Rozumiał to Józef, gdy wśród sennych rozmów z kolegami (tymi, którzy nie zasnęli wcześniej na lekcjach rysunków) rozpoznawał w „rozprószonej bieli” światła zimowej nocy „szary papier sztychu, na którym głęboką czernią płątały się kreski i szafirunki gęstych zarośli”, gdy patrzył, jak „noc powtarzała teraz głęboko po północy te same serie nokturnów, sztychów nocnych profesora Arendta, kontynuowała jego fantazje”. W taką właśnie noc syn Jakuba powierzył swój los kaprysom dorożkarza, a pozostawiony sam na sam pod kopułą nieba, na której „spiętrzały się fantastyczne lądy, oceany i morza porysowane liniami wirów i prądów gwiazdnych”, ujrzał na „szczęśliwych zboczach całe grupy wędrowców zbierających wśród mchów i krzaków opadłe i mokre od śniegu gwiazdy”. Tak zbierać też można rzadkie i osobliwe książki, pełne rycin i historii w ich najdziwniejszych, najbardziej oszałamiających momentach, kiedy niosą z sobą świeżość, „pamięć i miąsz dzieciństwa”.

Co więc oznacza becza na okładce *Katalogu Biblioteki Stanisława Weingartena*? Jest pojazdem-ksiegozbiorem, wehikułem czasu osadzonym dobrze w przeszłości, tradycji, a zarazem dającym możliwość podróży dalszej, w przyszłość. Znajdą się w niej książki dnia wczorajszego, książki tego dnia i dni następnych, a wśród nich książki nigdy nienapisane, książki „pretendenci”. Znajdą się tam kiedyś teki z pracami graficznymi samego Schulza – autora i adresata odwiecznych historii. Becza może być beczką Diogenesa, odpornym na zmienności aury stałym punktem wyjścia do ciągłych poszukiwań. Za koleżeński żart przyjąć by można zbieżność przeznaczenia beczi z nazwiskiem przyjaciela – Weingarten. Z racji wróżącej katastrofę, chyłcej się wieży w tle, becza może się okazać beczką o przeszłości biblijnej, rodzajem korabu Noego. W *Jesieni* przyjmie on kształt „ogromnych, głębokich łózek”, gwarancji bezpiecznej żeglugi ku nieznanym lądom, kiedy „służu nocy skrzybiały już pod naporem ciemnych mas snu”. Podaję tu tylko przykłady wzbierającej fali nieprzewidzianego, chociaż, zaznaczyć należy, dość ciepłego „zalewu”, rosnącej kolekcji aluzji i odniesień do potopu, która ma swój wspólny gen w *Genialnej epoce*. Przeznaczam innemu celowi opis „rupieciarnianego” chaosu form zwierzęcych, przesuwających się pod ręką Józefa, kiedy „jak za dni Noego” rysuje on, drapieźnie, ale także z „aksamitną pieszczotą” (są tam przecież koty), aby tym prędzej utwierdzić Państwa we własnym przekonaniu, że gdyby senny wędrowiec z okładki *Katalogu Biblioteki Stanisława Weingartena* otworzył „niestworzone do patrzenia” oczy, byłyby one „nieprawdopodobnie niebieskie”. On już przecież widzi sennym marzeniem zawieszane nad okolicą „kontury mitu”, słyszy „głos wewnętrzny”. W „republice młodych”, kraju o liberalnych podstawach obcych wszelkim nacjonalizmom,

przyjmującym wszystkich „spod znaku kielni”, otwartym na „powódź romantycznych przygód i fabuł”, wędrowiec otrzymuje rozkazy, którym raz jeszcze jego własny tekst musi być posłuszny.

Nade wszystko beczka Weingartena z inicjałami Schulza jest beczką z *Komety*: „Proszę mi wybaczyć, jeśli opisując te sceny pełne ogromnego spiętrzenia i tumultu wpadam w przesadę, wzorując się mimo woli na pewnych starych sztychach w wielkiej księdze klęsk i katastrof rodzaju ludzkiego. Wszak zmierzają one do jednego praobrazu i ta megalomaniaczna przesada, ogromny patos tych scen wskazuje, że wybiliśmy tu dno odwiecznej beczki wspomnień, jakiejś prabeczki mitu i włamaliśmy się w przedludzką noc bełkocącego żywiołu, bulgoczącej anamnezy, i nie możemy już wstrzymać wezbranego zalewu. Ach, te rybne i rojne noce...”. Płynność materii słownej odpowiada tu demiurgicznemu ruchowi rąk ojca Józefa, demonstrującego „wieczne krążenie substancji”, jego manipulacyjnym praktykom aktywizowania zasad „wszechprzenikania”, „transfuzji”. Żywioł nocy przynosi ponownie katastroficzny koniec historii, otwierając zarazem powrotną drogę do wspólnego domu, nowego początku historii. Kometa zmierzająca w opowiadaniu Schulza do swojej metafizycznej mety jest zwiastunem odwiecznie nowej gwiazdnej konstelacji – Cyklisty.

Za każdą powodzią nowa powódź, za każdą wieżą nowa wieża, za każdą kometą nowa kometa, za każdym Meksykiem nowy Meksyk, za każdym poetą nowy poeta, za każdą ewangelią nowa ewangelia, za każdą książką nowa książka, za każdym właścicielem książki nowy właściciel książki. Nie sposób nie wspomnieć raz jeszcze przygody odkrywania ważnych dla Schulza pokrewieństw między *Sklepami cynamonowymi* a *Historiami Jakubowymi* Manna, gdzie głęboka studnia przeszłości jest pierwszym, samo-refleksyjnym obrazem wielkich powtórzeń, a powstałe z niej „święto opowieści” zaproszeniem do drogi, dalej i dalej: „Spójrzcie, oto noc księżycowa kładzie ostre cienie na spokojnym, falistym krajobrazie”. Tytuł jednego z rozdziałów *Młodego Józefa* – „Prabeczenie” – wywołać mógł na twarzy Schulza uśmiech porozumienia.

Współdział w zadaniu szukania wzajemnych powinowactw i wieloznacznych dopełnień, między tekstami książek i tekstami ich czytelników, jest za sprawą rysunku Brunona Schulza z okładki *Katalogu Biblioteki Stanisława Weingartena* wielką przyjemnością. Spójrzmy teraz do wewnątrz bez obaw. Nie jest nam straszne gorzkie stwierdzenie „pana profesora” z opowiadania *Emeryt*: „Trzeba go skreślić z katalogu”. Przeciwnie, być może przyjdzie nam ochota, aby wśród spisanych w *Katalogu* książek wyobrazić sobie tę swoją, z własnym imieniem i nazwiskiem, za jednym z inicjałów Brunona Schulza.